

Bzowa Matka

Pewien mały chłopiec raz się przeziębził. Gdzie zmoczył nogi, nikt nie mógł pojąć – pogoda była zupełnie sucha. Matka rozebrała go, położyła do łóżka i kazała przynieść czajnik, by zaparzyć herbaty z bzu – doskonały środek napotny! W tej właśnie chwili do pokoju wszedł miły, wesoły staruszek, mieszkający na piętrze tego samego domu. Był całkiem samotny, nie miał ani żony, ani dzieci, a tak bardzo lubił dzieci, umiał opowiadać im takie cudowne bajki i historie, że aż dziw.

– No cóż, napijesz się herbatki, a potem, kto wie, może usłyszysz też bajkę! – powiedziała matka.

– Ech, gdyby tak znać jakąś nowiuteńką! – odrzekł staruszek, łagodnie kiwając głową. – Tylko gdzież to nasz chłopiec zmoczył sobie nogi?

– Właśnie o to chodzi – gdzie? – rzekła matka. – Nikt nie może pojąć.

– A będzie bajka? – zapytał chłopiec.

– Najpierw muszę wiedzieć, jak głęboki jest rowek odwodniający w zaułku, gdzie macie szkołę. Możesz mi to powiedzieć?

– Dokładnie do połowy cholewy! – odpowiedział chłopiec. – I to w samym najgłębszym miejscu.

– A więc oto gdzieśmy zmoczyli nogi! – powiedział staruszek. – Teraz należałoby opowiedzieć ci bajkę, lecz nie znam żadnej nowej!

– Ale możecie ją wymyślić teraz, od razu! – rzekł chłopiec. – Mama mówi, że na co tylko spojrzycie, czego tylko dotkniecie, z wszystkiego wychodzi wam bajka albo historia.

– Prawda, tylko takie bajki i historie do niczego się nie nadają. Prawdziwe przychodzą same. Przyjdą i zapukają mnie w czoło: „A oto i ja!”

– A czy któraś niedługo zapuka? – zapytał chłopiec.

Matka roześmiała się, wsypała do czajnika kwiatów bzu i zaparzyła herbatę.

– No, opowiedzcie! Opowiedzcie!

– Ot, gdyby sama przyszła! Lecz one są ważne, przychodzą tylko wtedy, kiedy im samym się zachce!... Czekaj! – zawołał nagle staruszek. – Oto ona! Popatrz, w czajniku!

Chłopiec spojrzał. Pokrywka czajnika zaczęła unosić się coraz wyżej, coraz wyżej, oto spod niej wyrzały świeże, białe kwiatki bzu, a potem wyrosły długie, zielone gałęzie. Rozchodziły się na wszystkie strony, nawet z dzióbka czajnika, i wkrótce przed chłopcem stał cały krzak; gałęzie trzęły się aż do samego łóżka, rozsuwając zasłonki. Jak cudownie kwitł i pachniał bez! A spośród zieleni wyglądało łagodne oblicze staruszki, ubranej w jakąś dziwną suknię, zieloną jak liście bzu i całą usianą białymi kwiatkami. Od razu nawet nie można było rozróżnić, czy to suknia, czy po prostu zieleń i żywe kwiaty bzu.

- Co to za staruszka? - zapytał chłopiec.

- Starożytni Rzymianie i Grecy nazywali ją Driadą! - rzekł staruszek. - No, ale dla nas to imię zbyt mądre, i w Nowej Słobodzie nadano jej lepsze przezwisko: Matka Bzowa. Przypatrz jej się dobrze i słuchaj, co będę opowiadał...

...Tak samo wielki, obsypany kwiatami krzak rósł w kącie podwórka w Nowej Słobodzie. Pod krzakiem siedzieli w godzinach popołudniowych i grzali się na słońcu dwoje staruszków - stary-przestary były marynarz i jego stara-przestara żona. Mieli wnuki i prawnuki i wkrótce mieli obchodzić swoje złote gody, tylko nie pamiętali dokładnie dnia i daty. Spośród zieleni patrzyła na nich Matka Bzowa, tak samo miła i przyjazna jak ta oto, i mówiła: „Ja-ro wiem dzień waszych złotych godów!” Lecz staruszkowie byli zajęci rozmową - wspominali dawne czasy - i nie słyszeli jej.

- A pamiętasz - rzekł były marynarz - jak biegaliśmy i bawiliśmy się z tobą jako dzieci? Oto tutaj, na tym właśnie podwórku, sadziliśmy ogródek. Pamiętasz, wbijaliśmy w ziemię patyczki i gałązki?

- Oczywiście! - podchwyciła staruszka. - Pamiętam, pamiętam! Nie leniliśmy się podlewać tych gałązek, jedna z nich była bzowa, puściła korzenie, pędy i oto jak się rozrosła! My, staruszkowie, możemy teraz siedzieć w jej cieniu!

- Prawda! - ciągnął mąż. - A tam, w tym kącie, stała balia z wodą. Tam spuszczaaliśmy na wodę moją łódeczkę, którą sam wyrzeźbiłem z drewna. Jak ona pływała! A wkrótce musiałem wybrać się i w prawdziwą podróż!...

- Tak, tylko przedtem jeszcze chodziliśmy do szkoły i czegoś tam nauczyliśmy się! - przerwała staruszka. - A potem dorośliśmy i, pamiętasz, pewnego razu poszliśmy oglądać Okrągłą Wieżę, wdrapaliśmy się na sam szczyt i podziwiali stamtąd miasto i morze? A potem udaliśmy się do Frederiksbergu i patrzyliśmy, jak król z królową płyną kanałami w wspaniałej łodzi.

- Tylko mnie przypadło pływać inaczej, przez długie lata z dala od ojczyzny!

- Ileż łez wylałam za tobą! Już myślałam, że zginąłeś i leżysz na dnie morskim! Ileż razy wstawałam nocą, by sprawdzić, czy obraca się chorągiewka na wietrze. Chorągiewka się obracała, a ty wciąż nie wracałeś! Jak dziś pamiętam, pewnego razu, podczas największej ulewy, przyjechał na nasze podwórko śmieciarz. Mieszkałam tam jako służąca i wyszłam z koszem na śmieci, zatrzymując się w drzwiach. Pogoda była okropna! I wtedy nadchodzi listonosz i podaje mi list od ciebie. Musiał ten list nieźle powędrować po świecie! Chwyciłam go i zaraz zaczęłam czytać! Śmiałam się i płakałam jednocześnie... Byłam taka rada! W liście pisałeś, że jesteś teraz w ciepłych krajach, gdzie rośnie kawa! To musi być błogosławiony kraj! Opowiadałeś jeszcze wiele innego i widziałam to wszystko jak na jawie. Deszcz lał jak z cebra, a ja wciąż stałam w drzwiach z koszem na śmieci. Nagle ktoś objął mnie w pasie...

- Pewnie i dałaś takiego policzka, że aż dzwon poszedł!

- Skąd miałam wiedzieć, że to ty! Dogoniłeś swój list. A jaki byłeś przystojny... I teraz taki jesteś. Z kieszeni wystawał ci żółty jedwabny chusteczka, na głowie kapelusz z ceraty. Taki elegant!... Ale jakaż to była pogoda, do czego podobna była nasza ulica!

- I oto pobraliśmy się - ciągnął były marynarz. - Pamiętasz? A potem przyszły nam dzieci: pierwszy chłopczyk, potem Mari, potem Niels, potem Peter, potem Hans Christian!

- Tak, i wszyscy dorośli i zostali dobrymi ludźmi, wszyscy ich kochają.

- A teraz już i ich dzieci mają dzieci! - rzekł staruszek. - To nasze prawnuki i jacyż to silacze! Zdaje mi się, że nasze wesele było właśnie w porze.

- Dokładnie dzisiaj! - powiedziała Matka Bzowa i wsunęła głowę między staruszków, lecz ci pomyśleli, że to sąsiadka kiwa im głową.

Siedzieli ręka w rękę i z miłością patrzyli na siebie. Nieco później przyszły do nich dzieci i wnuki. One doskonale wiedziały, że dzisiaj jest dzień złotych godów staruszków, i już gratulowały im rano, tylko staruszkowie zdążyli zapomnieć o tym, choć dobrze pamiętali wszystko, co zdarzyło się wiele, wiele lat temu. Bez tak pachniał, słońce, zachodząc, świeciło na pożegnanie staruszkom prosto w twarz, rumieniąc ich policzki. Najmłodszy z wnuków tańczył wokół dziadka z babcią i radośnie krzychał, że dziś wieczorem będzie u nich prawdziwa uczta: na kolację podadzą gorące ziemniaki! Matka Bzowa kiwała głową i krzychała „hurra!” razem ze wszystkimi.

- Ale to przecież wcale nie bajka! - zaprotestował chłopczyk, uważnie słuchający staruszka.

- Tak tylko mówisz - odrzekł staruszek - a zapytaj-no Matki Bzowej!

- To nie bajka! - odpowiedziała Matka Bzowa. - Lecz teraz zacznij się bajka. Z rzeczywistości wyrastają najcudowniejsze bajki. Inaczej mój piękny krzak nie wyrósłby z czajnika.

Z tymi słowami wzięła chłopca na ręce, gałęzie bzu, obsypane kwiatami, nagle zeszły się wokół nich i chłopiec ze staruszką znaleźli się jakby w altanie osłoniętej liśćmi, która popłynęła z nimi w powietrzu. To było cudownie dobre! Matka Bzowa zamieniła się w małą, prześliczną dziewczynkę, lecz sukienka na niej pozostała ta sama - zielona, usiana białymi kwiatkami. Na piersi dziewczynki lśnił żywy kwiat bzu, na jasnych, blond loczkach - cały wieniec z takich samych kwiatów. Oczy miała duże, niebieskie. Ach, jakaż była ładna, istne чудо! Chłopiec i dziewczynka pocałowali się i oboje stali się jednego wieku, jednych myśli i uczuć.

Ręka w rękę wyszli z altany i znaleźli się w kwiatowym ogrodzie przed domem. Na zielonej trawie stała przypięta do kołka laska ojca. Dla dzieci i laska była żywa. Wystarczyło dosiąść jej jak konia, a błyszcząca gałka zamieniła się w wspaniałą końską głowę z długą, powiewającą grzywą. Potem wyrosły cztery smukłe, mocne nogi i gorący koń pomknął z dziećmi wokół po trawniku.

- Teraz pojedziemy daleko-daleko! - powiedział chłopiec. - Do dworu, gdzie byliśmy w zeszłym roku!

Dzieci skakały wokół po trawniku, a dziewczynka - мы ведь знаем, że to była Bzowa Matka, powtarzała:

— No, oto jesteśmy już za miastem! Widzisz ten chłopski dom? Ogromny piec chlebowy, niczym gigantyczne jajko, wystaje ze ściany prosto na drogę. Nad domem rozpostarł swoje gałęzie krzak bzu czarnego. Oto po podwórku brodzi kogut, grzebie w ziemi, szukając pokarmu dla kur. Popatrz, jak ważnie stąpa! A oto jesteśmy na wysokim wzgórzu przy kościele; stoi on wśród wysokich dębów, jeden z nich jest w połowie uschły... A oto jesteśmy przy kuźni! Spójrz, jak jasno płonie ogień, jak pracują młotami półnaczy ludzie! Iskry tak i latają na wszystkie strony! Lecz musimy iść dalej, dalej, do dworu pańskiego!

I wszystko, co tylko wymieniała dziewczynka siedząca okrakiem na lasce za chłopcem, przelatywało obok. Chłopiec widział to wszystko, a tymczasem oni jedynie krążyli po łące. Potem bawili się na bocznej ścieżce, zakładając sobie mały ogródek. Dziewczynka wyjęła z swojego wieńca kwiat bzu czarnego i posadziła go w ziemi. Puścił korzenie i pędy i wkrótce wyrósł w wielki krzak bzu czarnego, dokładnie taki jak u staruszków w Nowej Słobodce, gdy oni sami byli jeszcze dziećmi. Chłopiec i dziewczynka wzięli się za ręce i również poszli na spacer, lecz

nie udali się ani do Okrągłej Wieży, ani do ogrodu Fryderyksberg. Nie, dziewczynka mocno objęła chłopca, uniosła się z nim w powietrze i polecili nad Danią. Wiosna ustępowała lata, lato – jesieni, jesień – zimie. Tysiące obrazów odbijało się w oczach chłopca i utrzymywało w jego sercu, a dziewczynka wciąż powtarzała:

— Tego nigdy nie zapomnisz!

A bz czarny pachniał tak słodko, tak cudownie! Chłopiec wdychał zarówno aromat róż, jak i zapach świeżych buków, lecz bz czarny pachniał najsilniej: przecież jego kwiaty zdobiły pierś dziewczynki, a do niej tak często skłaniał głowę.

— Jak cudownie tu jest wiosną! – powiedziała dziewczynka i znaleźli się w młodym lesie bukowym. U ich stóp kwitł pachnący przytulia, z trawy wyglądały cudne bladoróżowe zawilec. – O, gdyby wiecznie panowała wiosna w pachnącym duńskim lesie bukowym!

– Jak dobrze tu jest latem! – powiedziała, gdy przelatywali obok starego dworu pańskiego z pradawnym zamkiem rycerskim. Czerwone mury i ząbkowane szczyty odbijały się w rowach z wodą, gdzie pływały łabędzie, zaglądając do starych chłodnych alei. Łany falowały niczym morze, rowy pstrokaciły się czerwonymi i żółtymi polnymi kwiatami, po płotach wił się dziki chmiel i kwitnący powój. A wieczorem wzeszedł wielki i okrągły księżyc, z łąk powiało słodkim aromatem świeżego siana. – Tego nie da się zapomnieć!

– Jak cudownie tu jest jesienią! – powiedziała dziewczynka i sklepienie nieba nagle stało się dwukrotnie wyższe i błękitniejsze. Las przybrał najcudowniejsze barwy – czerwoną, żółtą, zieloną.

Na wolność wyrwały się psy myśliwskie. Całe stada zwierzyny z krzykiem latały nad kopcami, gdzie leżą stare kamienie porośnięte krzakami jeżyn. Na ciemnoniebieskim morzu zbiegały żagle. Staruszki, dziewczęta i dzieci zbierały chmiel i wrzucały go do wielkich kadzi. Młodzież śpiewała dawne pieśni, a staruszki opowiadały bajki o trollach i domowych duchach.

– Lepiej nie może być nigdzie! A jak dobrze tu jest zimą! – powiedziała dziewczynka i wszystkie drzewa odziały się szronem, ich gałęzie zamieniły się w białe korale. Śnieg chrupał pod nogami, jakby wszyscy założyli nowe buty, a z nieba jedna po drugiej sypały się spadające gwiazdy.

W domach zapalono choinki ozdobione prezentami, ludzie radoowali się i weselili. We wsi, w chłopskich domach, nie milkły skrzypce, w powietrze latały jabłeczники. Nawet najbiedniejsze dzieci mówiły:

„Jakże jednak cudownie jest zimą!”

Tak, to było cudowne! Dziewczynka pokazywała chłopcu wszystko i wszędzie pachniał bz czarny, wszędzie powiewała czerwona flaga z białym krzyżem, flaga, pod którą żeglował niegdyś marynarz z Nowej Słobodki. I oto chłopiec stał się młodzieńcem i jemu również przypadło udać się w daleki rejs do ciepłych krajów, gdzie rośnie kawa. Na pożegnanie dziewczynka dała mu kwiat ze swojej piersi, a on schował go do książki. Często na obczyźnie wspominał swoją ojczyznę i otwierał książkę – zawsze na tym miejscu, gdzie leżał kwiat! Im bardziej młodzieniec patrzył na kwiat, tym świeższy się on stawał, tym silniej pachniał, a młodzieńcowi zdawało się, że słyszy aromat duńskich lasów. W płatkach kwiatu widział mu się twarzyczka błękitnookiej dziewczynki, zdawało mu się, że słyszy jej szept: „Jak dobrze tu jest i wiosną, i latem, i jesienią, i zimą!” I setki obrazów przelatywały w jego pamięci.

Tak minęło wiele lat. Postarzał się i siedział ze swoją staruszką żoną pod kwitnącym drzewem. Trzymali się za ręce i rozmawiali o przeszłości, o swoich złotych godach, dokładnie tak jak ich prapradziadek i praprababcia z Nowej Słobodki. Błękitnooka dziewczynka z kwiatami bzu czarnego we włosach i na piersi siedziała w gałęziach drzewa, kiwała im głową i mówiła: „Dziś są wasze złote gody!” Potem wyjęła ze swojego wieńca dwa kwiaty, pocałowała je i one zabłyszczały, najpierw jak srebro, a potem jak złoto. A gdy dziewczynka położyła je na głowach staruszków, kwiaty przemieniły się w złote korony i mąż z żoną siedzieli niczym król z królową pod pachnącym drzewem, tak podobnym do krzaku bzu czarnego. I starzec opowiadał żonie historię o Bzowej Matce, tak jak sam słyszał ją w dzieciństwie, i obojgu zdawało się, że w tej historii bardzo wiele jest podobnego do historii ich życia. I właśnie to, co było podobne, podobało im się najbardziej.

– Oto jak! – powiedziała dziewczynka siedząca w liściach. – Kto nazywa mnie Bzową Matką, kto Driadą, a moje prawdziwe imię to Wspomnienie. Siedzę na drzewie, które wciąż rośnie i rośnie. Wszystko pamiętam, o wszystkim mogę opowiedzieć! Pokaż-no, czy twój kwiat jest jeszcze cały?

I starzec otworzył książkę: kwiat bzu czarnego leżał tak świeży, jakby dopiero teraz włożono go między kartki. Wspomnienie łaskawie skinęło staruszkom głową, a oni siedzieli w złotych koronach, oświetleni purpurowym zachodzącym słońcem. Ich oczy się zamknęły i... i... I tu bajce koniec!

Chłopiec leżał w łóżku i sam nie wiedział, czy widział to wszystko we śnie, czy tylko słyszał. Czajnik stał na stole, lecz bz czarny z niego nie wyrastał, a staruszek zebrał się do wyjścia i wyszedł.

– Jak cudownie! – powiedział chłopiec. – Mamo, byłem w ciepłych krajach!

- Prawda! Prawda! – powiedziała matka. – Po dwóch takich filiżankach herbaty z bzu czarnego nietrudno znaleźć się w ciepłych krajach. – I dobrze go otuliła, żeby nie przeziębł się. – Świetnie spałeś, podczas gdy my spieraliśmy się, czy to bajka, czy prawda!

- A gdzież jest Bzowa Matka? – zapytał chłopiec.

- W czajniku! – odpowiedziała matka. – Tam jej miejsce.